

ELIZA ORZESZKOWA

**Co mówił stary
klon?**

ELIZA ORZESZKOWA

Co mówił stary klon?

Czy ludzie tylko posiadają mowę? Gdzie tam! Wszystko, co żyje na niebie i ziemi, mówi; nie tylko co żyje, bo nawet kamień u brzegu rzeki, albo kurzawa, unosząca się nad drogą, posiadają wyrazy, w które wsłuchiwać się warto. Trzeba wprawdzie mieć uszy tak urządzone aby tę gadatliwość wszechrzeczy słyszeć mogły, ale bywają takie, i ja sam...

Wyznać muszę, że był niedawno moment, w którym ogromnie zleniwiały mi ręce, i głowa, i serce.

Nie chciało mi się nic robić, ani myśleć, ani czuć; najlepiej wołałbym usiąść sobie w jakim najdzikszym, najgłuchszym kącie świata, zamknąć oczy, skrzyżować ramiona i, jak fakir, wpatrując się w nieskończoność, powtarzać: Om! Om! Om! — aż do zapomnienia o rozpaczliwej skończoności wszystkiego, co jest na ziemi. Tacy fakirzy, którzy nieruchomo na jednym miejscu siedzą, aż im w uszach szerszenie gniazda swe pozakładają, daleko więcej wówczas trafiali mnie do przekonania, aniżeli tacy, którzy, wskutek niesłychanego naprężenia sił cielesnych i duchowych, przez parę godzin wyprowadzają z ziarna całą roślinę fasoli z łodygą, liśćmi i kwiatem.

Ciekawym, po co to czynią? Czy fasolą swoją tak świat nakarmią, że ród głodnych na nim zginie? »Chwała człowieka, jako roślina polna przemija«. »Snem cienia jest życie człowieka, a człowiek cieniem, który śni«. »Dźwięk jedyny, co nie kłamie, w wszystkich dźwięków świata gamie, to cmentarny szpil«!

I tam dalej, lamentsy bez końca: hebrajskie, greckie, łacińskie, różne inne przeciekały mi przez głowę, wypłukując z mózgu światło i siłę.

Nie zawsze przecież działo się tak ze mną i bez powodu się nie stało. Był powód; nawet w liczbie mnogiej: były powody, ale jakie? Mniejsza o to, bo sami mniej więcej znacie te rozmaite maszyny, które rzeźbią, gną, mielą, żłobią, aż ze stali uczynią gąbkę, a z brylantu węgiel.

Faktem jest, że osowiały, leniwy, niczego już oprócz martwego spokoju nie pragnący, a jego nawet pragnąć niezdolny, tylko siłą rozpędu zanurzający się weń coraz głębiej, siedziałem od kilku tygodni u okna, w głębokim, wygodnym fotelu, bo jedną z potrzeb przez ówczesne usposobienie wytwarzanych było mi to, aby siedzieć zawsze w sposób wygodny. Ciało, zarówno jak dusza, straciło możliwość utrzymywania się w postawie wyprostowanej. Od kilku godzin siedziałem na tem jednym miejscu, zaledwie spostrzegając smugę słonecznego światła, która zrazu błyskała po mojej odzieży i książce, trzymanej w ręku, potem przygasiała, skracała się, aż wykrzesawszy w szybie wielką iskrę ognistą — zniknęła.

Później nieco, za oknem, za kurtyną drzew, do połowy rozebranych z liścia, pięknie musiało zachodzić słońce, królewskimi barwami jesiennego nieba otoczone; lecz ani głową nie poruszyłem, aby to zobaczyć, i wtedy zaledwie doświadczyłem uczucia pewnej błogości, gdy pokój zapelniał się począł zmrokiem, tym haszyszem dla oczu, które pragną już tylko widzieć to, czego rzeczywistość dla nich nie ma. Książka zsunęła mi się z kolan i z cichym szelestem rozpostarła się na ziemi. Dom, chociaż nie bezludny, ale milczeniem napełniony, stał, jak czarna szampana, która, po ulotnieniu się musującego gazu, pełna jest jeszcze, lecz uciszona — i zwolna, stopniowo, ogarniał go wieczór jesienny, może po swojemu piękny, ale mnie nic nie było do jego piękności. Miasto, wśród którego stał, w oddali wrzało po swojemu, ale mnie nic nie było do jego wrzenia.

W kącie pokoju miałem zegar, który teraz szarą krepą owijał zmrok w kątach najgęstszy i którego miarowe, monotonne tętnienie wydało mi się oddechem otaczającej mnie

ciszy. Zaczęłam razem z ciszą oddychać, czyli powtarzać w myśli zgłoski najwyraźniej w tętnieniu zegara słyszane:

Tik, tak! Tik, tak!

Poczem, sam nie wiedząc kiedy i jakim sposobem, może dlatego, że niedawno o pustelnikach indyjskich myślałam, albo że mózg mój nie miał ochoty wyrzucić z siebie dwu liter, które w nim ugrzęzły, zacząłam ustawicznie a nieprzerwanie powtarzać:

— Om! Om! Om!

Plecy moje kurczyły się, garbiły i coraz głębsze wyżłobienie urabiały w miękkiej poręczy fotelu, ręce wzdłuż kolan zwisły, powieki na źrenice opadły, nogi daleko naprzód wysunęły się na kobierzec, a w głowie, która brodą aż środka deki piersiowej dotykała, myśl obumarła powtarzała ciągle:

Om! Om! Om!

I tego tylko brakowało, aby jaki szerszeń z kroplą miodu na skrzydle w uchu mi zasiadł, albo jaki pajak zaczął sieć swoją zaciągać w ustach, które z kolei rozwierały się szeroko westchnieniami i poziewaniem.

Wtem:

— Puk, puk, puk!

Coś mi nad samem uchem zastukało w szybę. Niech sobie stuka! Co mi do tego!

Po raz drugi:

— Puk, puk, puk!

I zarazem coś szepce:

— Odwróć głowę, leniuchu, i spójrz na mnie. Czy nie czujesz, że co najmniej tyleż nudzisz się, ile smucisz. Pogawędzmy z sobą trochę; może cię to rozerwie.

Zanim zdołałem się odwrócić, musiałem głowę podnieść, raczej podźwignąć. Podźwignąłem. *Il n'y a que le premier pas qui coûte*. Spojrzałem na tę szybę, do której coś pukało...

Nikogo, nic. Tylko tuż pod oknem stoi wielki, stary klon i szeroko rozpościera silne gałęzie, całe w liściach żółtych, dużych, dłoniastych i głęboko wyżębionych. Właśnie jeden z tych liści najdłuższym z zębów swoich o szybę mi uderza, a inne dokoła niego rozpościerają się, jak dłonie na coś wskazujące, albo w górę podlatują, albo, zbliżając się ku sobie, z cicha szepcą.

Niechby tam sobie szeptały, ile chciały, ani myślałbym ich słuchać, ale ten jeden, wciąż w szybę dzwoniący, niecierpliwić mnie zaczyna.

— Czego chcesz?

Jakby na zakłęcie, na to pytanie klon poruszył wszystkimi naraz gałęzmi, które rozstąpiły się na wszystkie strony. No i cóż? Cudne niebo wieczorne, to prawda; u skrajku, strugą gasnącego żaru z ziemią rozdzielone, powyżej przelewające fioleto amethystowe z bladą zielenią, na którą usiadły już drobniutkie gwiazdy. Niegdyś widok ten wprawiałby mnie w ekstazę, ale teraz... po co ukazujesz mi go, stary klonie?

Nie odpowiedział nic, tylko u samego szczytu, jak dwa ramiona, szeroko rozpostarł dwie gałęzie, pomiędzy którymi zawisł obłok, podobny do skrzydła zrumienionego dogasającym ogniem. Prawie w mgnieniu oka skrzydło to przelało się na wachlarz rozpostarty, potem na pochodnię, wyrzucającą z płomienia kłęb dymu, a wkrótce, połączywszy się z parą nadbiegłych powietrzem puchów różowych, utworzyło profil dziewiczy ze złotym warkoczem, który wnet zwinął się ku górze i w sposób taki osłonił profil, że ukrył się on w przyłbicy rycerskiej, powiewającej srebrnym pióropuszem.

Bardzo ładna gra obrazów! Lubilem niegdyś przypatrywać się robotom niewidzialnego snycerza, który w czarnoksiężskiej retorcie przelewa pod niebem jedne w drugie tysiąc form i kruszców, ale teraz... co mi z tego!

A poczekaj, poczekaj, klonie! nie opuszczaj w dół gałęzi! Co to za czarne punkciki pomiędzy niemi, niby ziarna makowe rozsypane? Tu i owdzie dobywają się z nich dźwięki krótkie, piskliwe, podobne do szpilek przesywających powietrze.

— A, to gniazda ptasie!

— Gniazda ptasie, — spokojnie potwierdził klon i z pogodną dobroduszością mówił dalej:

— Mam ich teraz niewiele i wiosną dopiero trzeba widzieć, co tu tego skrzydlatego małaństwa chroni się pod moje liściaste skrzydła. Niekiedy nawet bywają słowiki. Czy

nigdy nie słyszałeś w maju słowika, śpiewającego na gałęzi mojej, tuż prawie nad ziemią?

— Owszem, słyszałem; ale wówczas właśnie miłość zadała mi ranę tak bolącą, że męgo jej śpiewaka o mało z gniewu nie zastrzelił. Bo pocóż kłamię? Nie doszedłem przecież jeszcze do tego stopnia złości, abym zabijał słowiki, więc tylko od czułych trelów uciekłem.

Klon odpowiedział:

— Byłeś nierozsądny, gniewając się na słowika, który nie kłamię, bo pieśni słowicze są takimże płodem ziemi, jak bóle człowiecze, i nie byłoby śmieszny ten, ktoby chciał zgasić słońce dlatego, że nieoświetla ono otchłani? Nieprawdaż?

— Prawda, klonie; tylko że w pewnych momentach wszelkie prawdy są dla bólów ludzkich tem samym, co dzwony kościelne dla robaka, przewiercającego drzewo. Dzwon wzywa na nabożeństwo i rozlega się tak, że aż powietrze gra, a robak tymczasem słuchać go ani myśli i wwierca się w drzewo tak, że aż mu mięsz przegryza. Ale po co ja ci to mówię? Wszak nie możesz być psychologiem, jakkolwiek od paru minut spostrzegam, że jesteś wcale przyjemnem drzewem.

— Jestem tylko niezłem sobie drzewem, — skromnie odpowiedział klon. — Dobre chęci moje znają te skrzydlate maleństwa, o których opowiadać nie skończyłem. Na wiosnę, kiedy wierzby gubią z gałęzi takie kotki podługowate, mięciuchne, srebrnawe... Wiesz?...

— Wiem, wiem, — przerwałem z żywością, która zdziwiła mnie i zmartwiła. — Świat roślinny niegdyś kochałem i przypatrywałem się mu z blizką, lecz teraz, co mam mniemać o bezdenności mego smutku, którego dno znalazły kotki wierzbowe, podługowate, mięciuchne, srebrnawe!

Klon zaś, nie zważając na przerwę prawił dalej:

— I kiedy topole sieją po świecie takie mnóstwo puchu, że ziemia nim na szerokich przestrzeniach okryta jak śniegiem, wtedy to trzeba widzieć, jaka to robota, jaki gwar, trzepot, skakanina, wyścig dzióbków, które z kotkami i puszkami do mnie się zlatują. Mam tego wówczas mnóstwo! Teraz wróbli tylko trochę, kilka rodzin makolągwich i ot, dziś właśnie para gilów na zimę przyleciała; gniazda jeszcze nie ma i przytulona do siebie na gałęzi śpi.

— Nie śpi, — zaprzeczyłem — i nawet jest czegoś przelekniona. Dwie czerwone główki wysunęły się z pod liści i w trwodze obracają się na wszystkie strony. Ale i w gniazdach ruch i pisk! Co im grozi?

— Ej, nic wcale! Wiewiórka, która w tym roku zamieszkała u samego szczytu mego, machnęła może kitą, lub głośno rozgryzła lupinę orzecha.

To mówiąc, ostrożnie, uważnie, rozchylił kilka gałęzi najwyższych i na jednej z nich spostrzegłem istotnie stworzenie z szerścią tak gorąco rudą, że na zmroku odbiła się plamką czerwoną. Orzechów nie gryzła wcale, tylko kitę kosmatą jak piórupusz podniósłszy, siedziała podobna do figurki, w symbol zadumania odlanej z miedzi. Klon gderać zaczął:

— A co! tak jest, jak przypuszczałem! Nie śpi jeszcze! Marzycielka i lekkomyślna! Zawszem spostrzegam, że marzycielstwo z lekkomyślnością w parze chodzi, pewno dlatego, że marzenia, jak wiatry, miotając myślami, nie pozwalają im nabywać wagi centnarowej. To też przez dzień cały skakała, jak baletnica, a teraz zamiast spać, o niebieskich migdałach дума i dzieci mi tylko straszy!

Mówiąc to, liście swe dłoniaste i wyębioneopuszczał na gniazda, jak firanki, albo jak opiekuńcze ręce z czujnie rozpostartymi palcami. Gniazda też uciszyły się naraz, a dwie główki gile, z pomiędzy liści wyzierające, przytuliły się do siebie i zamknęły oczy. Wtedy rzekł:

— To są moje dzieci.

Po raz pierwszy oddawna uśmiechnąłem się.

— Masz ich mnóstwo!

— Czy tylko tyle! — odpowiedział z dumą. — Nie masz pojęcia, ile dokoła pnia mego wyrasta ździebeł trawy rozmaitej, któraby przepadła, a przynajmniej skarłała, gdybym liśćmi swymi gruntu dla niej nie użyźniał, a później wzrostu jej cieniem swym nie strzegł. Gdyby nie ja, głódby je, te źdźbła, skurczył, lub skwary słoneczne pożarły. I zdaje się na pozór, że szkoda byłaby nie wielka, a jednak nie, bo są to istotki śliczne i z ich zgubą zginęłaby na świecie duża kropla piękna. Prawie nikt o tem nie wie, dlatego, że są małe; a tak to już jest na świecie, że łatwiej u wielkich dostrzedz pyłek piękności,

aniżeli ogrom jej u małych. Ja ją dostrzegam w pióropuszkach, piórkach, gwiazdkach, jęczyczkach, piłkach, strzałkach, koronkach, żyrandolkach, któremi ten drobiazg z ziemi wyrasta i drobniejszemu jeszcze od siebie drobiazgowi służy...

— Służy? — zapytałem.

— A jakże! *Ce qui se ressemble s'assemble*. Liliputom z liliputami dobrze. Boże krówki jak rubiny, żuczki jak czarne paciorki, pajęczki z szybkością strzały biegające, świerszcze, które chóralnym hejnałem nocne rosy chwałą, muszki, które górnymi loty naśladować ptaki usiłują, różne tam zresztą robaczki nieme, pełzające, najlichsze z najlichszych i tem tylko cenne, że, jak złoto w brzydkiej rudzie, tkwi w nich iskra życia, — żyją i plenią się w lesie tych form malutkich, których cząstkę ci wymieniłem. Pośród strzałek, piórek, gwiazdek, jęczyczków i żyrandolków zielonych ruch panuje wieczny, bieranina, latanina, krzątanie się, praca, gonitwy, przemysłność, tak, że aż mi żal niekiedy, że rodzi się to takie drobne, dlatego tylko, aby cały ten bój herkulesowy stoczyć i w prochu trupem leż. Ale na medytacje pesymistyczne czasu nie mam, bo oto powietrzem niewiadomo skąd nadlatuje rój motyli, kłębi się, jak obłok z wirujących atomów złożony, spada na mnie jak śnieżycyca i wśród gałęzi moich sał balową sobie urządza. Owszem, bardzo proszę! Parami i pojedynczo gonią się i okręcają, hulają w tańcu, ile tylko sił starczy. Ile promyków słońca drga wśród tych moich liści, tyle pomiędzy nimi uwija się motyli, tak, że stoję cały w sieci złotej i w roju małych skrzydeł, jak śnieg białych. Ale trwa to niedługo, bo niebawem pary motyle rzucają się sobie w objęcia, pijane miłością, przez chwilę jeszcze trzepoczą w złocie słońca i po chwili, już nieżywe, padają na ziemię, jak szmatki zgniecionej tkaniny. Widok to smutny, ale i nie smutny, bo ja ci to powiadam, stary klon, którym wiele na świecie widywałem: że motyl, umierający w chwili, gdy pił miłość, stokroć szczęśliwszy jest od ciebie, człowieka, który, ciesząc się zdrowiem wybornem, mogiłę swojej w sercu nosisz.

— Powiedziałeś rzecz oddawna wszystkim znaną. Niemniej gawędka z tobą podoba mi się coraz więcej i bardzo żałuję, że o ludziach mówić mi nic nie możesz. Drzewem będąc, pewno nic o nich nie wiesz.

Klon wyprostował się i, z góry na mnie patrząc, parę razy ironicznie szczytem potrząsł.

— A co ty wiesz, człowieku? — zaszumiał, — co ty o nich wiesz?

— Uwaga słuszna, — rzekłem — odkąd zacząłem przypatrywać się tylko swojej trutej duszy, innych nie widzę wcale.

— I tego człowieka nie widziałeś, który przez całe ubiegłe lato, pod samem oknem twojem, w cieniu moim...

— Nie widziałem, któż to taki?

Klon tak jakoś w jedną stronę zwinął wszystkie swe gałęzie, że odsłonił przedemną widok dobrze znany, lecz na który już oddawna wcale uwagi nie zwracałem. Był to w oddali nieco stojący gmach ogromny, z którego cienkich i prostych kominów wzbuchały dymy, a z licznych okien biła luna, do pożarowej podobna. Dymy kładły się na wieczornym zmroku, jak ciężkie, pełne iskier chmury i toczyło się w nich nieustannie monotonne warczenie grzmotu.

— Fabryka — rzekłem. — Więc cóż?

— Nic osobliwego — odpowiedział klon. — Każdy wyrostek uliczny wie, co się w niej dzieje. Skwar ognia, grzmot kół, zgrzytanie żelastwa o żelastwo, lotne trucizny w powietrzu, mięśnie ludzkie wyprężone, klatki piersiowe zdyszane, twarze w zmarszczkach, ciała w pocie, dusze w niewoli. Nic osobliwego! Ale człowiek, o którym wspominałem, wybiegł, a raczej wypadł raz stamtąd, nietylko zziębnięty i potem obłany, lecz w dodatku zębami szczękający. Szczękały mu zęby mniej jeszcze od febry, która trzęsła jego ciałem, niż od złości, która rozsadała duszę. Zbuntował się przeciw pracy zbyt ciągłej, zbyt ciężkiej i — źle na tem wyszedł, bo rzadko się zdarza, aby niewolnik, który targnął się przeciw jednemu batogowi, nie popadł za to od razu pod dwa. Tak i ten, przeciw tyrańskiej pracy powstawszy, dostał drugą jeszcze monarchinię: piekielną złość. Z za zębów szczękających przekleństwa wyrzucał, pięścią wygrażał; słowem, powiadam ci, wyglądał, jak na wszystko gotowy zbój. Szczęściem, paroksyzm febry tak podcinał mu nogi, że długo iść nie mogąc, a mnie ujrawszy, runął jak długi u stóp moich...

Stałem wówczas w pełnej wspaniałości swego zielonego płaszczu, więc niedługo myśląc, rozpostarłem go nad tem w męce leżącym ciałem ludzkim, tak szeroko i bacznie, że od stóp do głowy okrył go łagodny, kojący cień. Potem liśćmi, jak wachlarzami, zacząłem

poruszać z wolna, cicho, tyle tylko, aby ich powiewy osuszały mu krople potu na twarzy i ochładzały rozpalone oczy. Wił się czas jakiś na trawie, jęczał i przeklinał, lecz stopniowo, w spokojnym szmerze, którym go kołysałem, uspakajał się, przycichał, aż zamknął powieki i usnął. Cicho nad śpiącym stałem, zasłaniając mu tylko opalone u ognia czoło od upalnych promieni słonecznych, a gdy spostrzegłem, że wnet się obudzi, zawołałem na swą orkiestrę, aby powracającą do jawy duszę jego powitała pieśnią, lecz niezbyt głośną, ani wesołą, bo wrzawa i wesołość są drożdżami, od których uczucie nieszczęścia wyra-
sta. Więc z cicha, ostrożnie ptaki moje szczebiotać zaczęły, a ja ze swej strony lałem mu w oczy moją świeżą zieloność tak obficie, aby wypłukać z nich męty bólu i gniewu. Jakoż po raz pierwszy od lat wielu, oczy te długo patrzyły w zieloną gęstwinę, gdy tymczasem szczygiel znizywał w niej na promień słońca drobne treliki, a małe mięty, cąbry, dzięcieliny, na których spoczywał, wydawały rzeźwiące wonie. Wstał potem i odszedł, lecz powraca często. Nie dalej jak wczoraj w południe przyszedł i miał, jak zwykle, usiąść na trawie, gdy biała pajęczyna, którą teraz rozwieszają na liściach moich pająki, ta wiesz? co to ją ludzie »babiem latem« nazywają, osiadła mu na całej twarzy wąsatej i ogorzalej. Zdjął jedwabistą przędzę z wąsów szorstkich, z czoła pooranego zmarszczkami, z oczu zawsze trochę posępnych — i patrząc, jak mu srebrzystą gazą oplatała rękę u ogniu fabrycznych opalonych, zaśmiał się...

Umilkł klon, a ja, po chwili zamyślenia, rzekłem:

— Żem też ja nigdy biedaka tego nie spostrzegł, pod samem oknem mojem w cieniu twym odpoczywającego. Dziwna rzecz!

Kilka liści, najbliższej szyby fruwających, aż podskoczyło w górę ze śmiechu.

— Wcale nie dziwna! Wcale nie dziwna! — chichotały, ale nim zdołałem zebrać się na zapytanie, klon w zamyśleniu, chwiejąc się, zaszumiał:

— Hej, hej, gdybym chciał opowiadać o wszystkich ludziach, z którymi w przyjaźni żyłem, za miesiącbym nie skończył... Dzieci, młodzieńcy, starcy... Aha! dzieci! Opowiem tobie, jakiego figla raz splatałem na korzyść pewnego dziecka. Dawno to już było, ale zdaje mi się, że słyszę jeszcze nieznośny wrzask jego, tam, w tym krzaku berberysowym, co to za ogrodzeniem rośnie. Matka pracza, wiecznie zziębnięta od pośpiechu, kładła go tam co rana, w dereczkę podartą owinąwszy, pomiędzy bylicą i zielem świętojańskim, słusznie poniekąd mniemając, że zdrowiej mu oddychać świeżem powietrzem, niżeli parą i smrodem mydlin. Zdrowiej bo zdrowiej, pewno, ale dzieciak zamorusany, samotnością nastraszone, może przez muchy albo komary kąsany, darł się w niebogłosy, aż mi ten krzyk jego nerwy prześwidrował. A właśnie w tej samej porze inna matka, czuła, młoda i dostatnia, siadywała w cieniu moim z kolebeczką śliczną, w której śpiewaniem kołysanek melodyjnych usypiała dzieciątko różowe, umyte, w sukience jak cacko, pod kołderką, do obłoczka podobną, leżące... Szydełkiem w białych palcach połyskując, nuci bywało z cicha, a ja nad ciemnymi jej włosami szeptać zaczynam w taki sposób, aby szept mój do serca jej się dostał, wzruszył ją i do głośniejszej pieśni pobudził. »Szczęśliwaś! — szepczę, — lecz szczęście kobiece jak miłość męska zmiennie i jak dziecię kruche. Może utracisz je, a może wzrastać jeszcze będzie! Trwoga jest cieniem, chodzącym za nadzieją... a wzgórze mogilne posiada kształt kolebki, tylko inną stroną zwróconej ku ziemi. Więc ciesz się i smuć zarazem, pragnij i trwóż się, »a śpiewaj tylko coraz głośniej, rzewniej, dłużej... « Błogość i melancholia, które dobywają się ze starego drzewa, gdy w zamyśleniu kołysząc gałęzie, o różnych takich rzeczach szumi, oblewały jej serce, jak woda morską perły i jak szmer w łonie konchy; obudzały w niem pieśni coraz głośniejsze, rzewniejsze, dłuższe, aż nuty ich dosięgać zaczynały tego miejsca, gdzie za płotem rósł krzak berberysowy. Tam zaś, chude małeństwo, w bylicach i ziele świętojańskim pograżone, głupie! brało do siebie rajską melodię kołysanki macierzyńskiej i z czerwonym gronem berberysowych jagód w brudnych łąpinach spokojnie usypiało. Tak to ja podstępnie sprawilem, że młoda matka jednego dzieciątka — śpiewała dla dwojga.

Stał potem klon przez parę minut milcząc, ale zato kilka liści jego żółtych, wyębionych, fertycznie podlatując w górę, przy samej szybie zaszeptало:

— Była tu raz u nas para kochanków...

— Cicho! nie chcę! — przerwałem, machając ręką.

One upierały się mówić cokolwiek.

— Był raz poeta...

— Dajcie mi pokój!

— Dlaczego, dlaczego o kochankach i poetach słuchać nie chcesz? — zachichotały liście.

— Bo miłość i poezja tyle mi różnych dóbr odjęły, że stałem się nędzarzem, żebrzącym pociechy, ja, człowiek — u drzewa.

— Alboś ty pierwszy taki? — zaszemrały liście i zaczęły znowu:

— Był raz mąż, któremu dom ojczysty runął, mąż silny, a jednak...

Tu stary klon obudził się z zamyślenia i w swoich żółtych liściach, jak słup ognisty wyprostowany, od pnia do szczytu szumieć zaczął.

— Mąż silny, a jednak zapłakał, i sam widziałem, jak lży jego, padając na gruzy, przemieniały się w krople krwi. Był to płacz krwawy, ale trwał niedługo. Nad gruzami rozległy się stuki topora i hurkoty znoszonych, toczonych kamieni; mąż silny począł odbudowywać dom. Ciężka robota, wiatry przeciwne wieją i co zrobione, już obalają; największe siły granice swe mają: biedak niekiedy ze zniechęceniem opuszcza omdlałe ręce. Gdy raz je tak opuścił, na belce tuż mu nad głową zjawia się szatanik, wcale nawet ładny. Czarny, jak noc i aksamit, na głowie miał rożki złote, w ustach sinawy promyk taki, jakie to czasem nad cmentarzami wlatują, a u nóg i rąk kopytka i pazurki nie rogowe wcale, lecz brylantowe. Przytem, bynajmniej nie smołą ani siarką pachniał, ale rozlewał dokoła woń najdoskonalszych perfum. Jak zwinna małpka, która wyprawia koziołki, zawiesił się na spróchniałej belce i zmordowanemu biedakowi nad samą głową prawi:

„Porzuc tę głupią robotę! Bo i do czego ona prowadzi? Dom ojczysty czy nie ojczysty, wszystko jedno; każdy dobry, w którym wygodnie i miło. Co za ochota tracić drogie życie na dźwiganie kamieni, które za nic jeden na drugim ustać nie chcą, i walenie młotem w gwoździe, które nigdy nic spoić nie mogą! Gdybyś jeszcze nie miał gdzie mieszkać! Ale owszem, wiesz dobrze o tem, że zawsze gotów jestem udzielić ci schronienia takiego, że twoja rudera aniby się z niem porównać mogła, wtedy nawet, gdy była jeszcze „pałacem sterczącym dumnie”. Ideologiem jesteś, a ja nad tym gatunkiem ludzi szczególną litość czuję, bo głupiutki. Wszelkie inne, naprzykład: samoluby, tyrani, rozkosznicy, ladacznicy, oho, mądrzy! Zanim ja z nich sobie bulion gotować zacznę, nakapią się do syta w różanych olejkach i małmazji. Tacy zaś, jak ty, mają dar rozśmieszać mnie serdecznie, a kropla wesołości, w czas spadła, może nawet szatana pobudzić czasem do dobrego czynu. Słuchaj mnie więc, pókim dobry: rzuć tę rudere, niech sobie do reszty rozwala się i dogniwa, ja zaś w zamian daruję ci ten pałac... widzisz go, tam? A co? piękny! wysoki! „Sterczący dumnie”! prawda? A jaki mocny! Siedm wichrów, siedmdziesiąt piorunów, siedmset siedmdziesiąt siedm milionów wystrzałów armatnich uderzyć weń mogą, a on ani drgnie! Cóż, głuptasku, chcesz tam zamieszkać? To chodź ze mną. Zaprowadzę, wprowadzę, zarekomenduję, ulokuję, a później wrócę tu i jak świsnę po tej twojej rudere, to z ziemią ją zmieszam i śladu po niej nie zostanie. No, chodź!

Wszystko to mówiąc, szatanik zabawny takie łamane sztuki po belce wyprawiał, że aż mu złote rożki iskrami pryskały; czerwonymi oczyma jak rubinami błyskał, a pazurkiem brylantowym wciąż na „sterczący pałac” wskazując, smugi tęczowych blasków w powietrzu zapalał. Biedak z raną w sercu, z toporem w opuszczonej ręce, a na twarzy ze śliną wzgardy, którą go mieszkańcy sąsiednich domów opluli, stoi, słucha, myśli:

— „Może to i prawda! Jaki śliczny ten brylantowy pazurek szatanka! Moimi brylantami są krople potu i lży, które, wstydząc się świata, padają w serce. Może i głupi jestem? Może niczego nie dokonam? Może werwena, którą pachnie ten szatanik, tak zmysły moje upoi, że o tych gruzach swoich zapomnę?”

Gdy on tak дума, ja, stary klon, stoję sobie na uboczu, słucham, czekam i tylko gałęźmi po swojemu szumie, w taki sposób, aby ten, którego kolebka niegdyś w cieniu moim stała, spojrzeć na mnie musiał. Jakoż po chwili, oderwawszy wzrok od brylantowego pazurka i złotych rożków szatanika, spojrział, a w tej samej chwili serce w nim zaczęło — rzecz nie do uwierzenia! — nie tylko śpiewać, ale i malować. Prędzej, niżeli pomyśleć podobna, wyśpiewało ono cały cykl pieśni i wymalowało galerię obrazów, w której ja, naturalnie, byłem jedną tylko literą i jedną kroplą farby; lecz w sprawach sercowych to zawsze tak: zacząć tylko, a z kropli powstanie morze, z litery poemat. Dość, że z namysłu mego biedaka wypadło grzmieć: *Vade retro!*

I jak matka nad mdlejącym dzieckiem, z rozpostartymi ramionami pochylił się on nad swymi kochanymi gruzami.

Czy dźwignął z ruiny dom swój ojczysty? Podobno jeszcze nie. Czy kiedykolwiek dokona tego? Skądże ja, śmiertelne drzewo, wiedzieć o tem mogę? Ale pewnem już jest, że szatanowi na bulion nie pójdzie i że z jego winy szatan mu po ojczystym domu nie świśnie tak, aby go z ziemią zmieszać. A i to już coś znaczy, nieprawdaż?

— Tyle co czystość sumienia — odpowiedziałem.

Zamyślił się długo i milczeliśmy obaj.

W pokoju ciemność już zupełna oddychała nieustannym, miarowym tętnieniem zegara: tik tak! tik tak! — ale nie wiem, czemu nie chciało mi się już oddychać razem z ciemnością. I pustelnik indyjski, który długo powtarzał był we mnie: „Om, om, om!” — wypadł mi z mózgu. Sam nie wiedząc, jak i kiedy, powstałem z wygodnego fotelu.

— Dokądże to? — tuż za szybą zafruwały liście.

— Lampę zapalę... — odpowiedziałem.

— Po co? — zapytał cały klon.

— Domyśl się, kochane drzewo...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/co-mowil-stary-klon>

Tekst opracowany na podstawie: Orzeszkowa, Eliza, Chwile, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa-Kraków 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okladka na podstawie: [abdallah@Flickr](https://www.flickr.com/photos/abdallah/), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0607-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).